
DYMIĄCY WAŁBRZYCH

Skrócony kurs licealny * Internat dla trzech uczni * Matura eksternistyczna

Mój współlokator Tadek od pewnego czasu jeździł do Wałbrzycha w celach handlowych. Tam dowiedział się przy okazji, iż przy istniejącym już polskim liceum, funkcjonuje niepełnoroczny kurs dwóch klas licealnych dla zaawansowanych. Obejmował tylko 12 uczniów, wszyscy starsi, pracujący, którzy już przed wojną uczęszczali do szkoły średniej. I oto dyrektor zgodził się na propozycję Tadka na warunkowe przyjęcie na ten kurs, będący praktycznie na finiszu, kilku nowych uczni. Pojechało nas trzech, zgranych Kępników, absolwentów gimnazjum w Kępnie i pierwszej klasy liceum we Wrocławiu. Tym trzecim był Broniek.

Warunki były bardzo ostre: dobre ostatnie świadectwa, kontrolne wstępne egzaminy w ciągu pierwszych dni nauki i eksternistyczne egzaminy maturalne. Warunki oczywiście przyjęliśmy, bez zbędnej zwłoki zameldowaliśmy się na pobyt tymczasowy we Wałbrzychu i zabraliśmy się pilnie do nauki.



Gimnazjum i Liceum im. B. Limanowskiego

Sprawowali oni bezpośredni nadzór nad kopalniami, elektrowniami, hutą szkła i innymi większymi zakładami przemysłowymi, w których pracowały dotychczasowe załogi niemieckie. Polaków było bardzo mało, zaś ludności niemieckiej znacznie więcej, niż miasto liczyło przed wojną, a to na skutek przebywania w tym rejonie ludności ewakuowanej z bombardowanych miast, w tym głównie z Wrocławia.

Właśnie nawiązała się wielka akcja przesiedleńcza 3,5 miliona Niemców do radzieckiej i brytyjskiej strefy okupacyjnych, zgodnie z Umową Poczdamską z 2 VIII 1945 r. Dopiero w trakcie tej akcji dokonano wymiany ludności niemieckiej na polską.

Równolegle tworzone były polskie dyrekcje wszelkich zakładów przemysłowych i komunalnych, jakie przejmowane były następnie sukcesywnie, w pełnym ruchu, z rąk rosyjskich zarządów wojskowych. Najdłużej, bo bodaj przez trzy lata, Rosjanie utrzymywali swe kierownictwo nad kopalniami węgla. Wydobycie węgla, a także częściowa produkcja innych zakładów przemysłowych, przez nich zarządzanych w Wałbrzychu, zaliczane były w poczet niemieckich reperacji wojennych dla ZSRR. Podobnie pojechały na wschód elektrowozy ze zniszczonej zelektryfikowanej magistrali kolejowej Wrocław - Jelenia Góra.

Wałbrzych po Wrocławiu jawił mi się jako mityczne Eldorado. Ponad 100-tysięczne miasto, czyste, piękne, ludne, bez jakiegokolwiek zniszczeń wojennych. Wspaniałe, dymiące kominy licznych kopalń węgla kamiennego, koksowni, huty szkła, wytwórni porcelany i tuzina innych fabryk. Normalnie kursujące tramwaje, wszystkie budynki ogrzewane, mnóstwo sklepów, zakładów rzemieślniczych, restauracji.

Zakwaterowaliśmy tymczasowo w hoteliku miejskim. W przeciwieństwie do Wrocławia, w mieście było dużo wojskowych radzieckich.

Po 2-3 dniach od rozpoczęcia nauki zamieszkaliśmy w trójkę w dwóch pokojach, wynajętych w mieszkaniu niemieckiej rodziny. Było taniej niż w hotelu oraz bliżej naszej szkoły. Za to dochodziło do ostrych kłótni pomiędzy Tadkiem, który zresztą tę naszą kwatery zorganizował, a bodaj synem właściciela mieszkania. Niemiec negocjował prawa Polski do Wałbrzycha i wygrażał, że Niemcy jeszcze wrócą. Nie było to sympatyczne i bezpieczne. Podejrzewaliśmy nawet, iż może on być członkiem Wehrwolu – tajnej organizacji niemieckiej, prowadzącej w tym czasie działalność sabotażową i dywersyjną na polskich Ziemiach Zachodnich.

Nie pamiętam już, w jaki sposób udało nam się wówczas zwiedzić kilka obiektów przemysłowych w większej zorganizowanej grupie. W szczególności zwiedziliśmy jedną z kopalń węgla kamiennego i hutę szkła. W kopalni zjechaliśmy windą, w kaskach na głowach, na poziom wydobywczy i odbyliśmy krótką wędrowkę po kopalnianym chodniku. W hucie szkła podziwialiśmy ogromne hale i wielkie urządzenia do odlewania szyb.

Wkrótce o nasze zakwaterowanie zadbała dyrekcja Liceum. Utworzony został pierwszy polski internat szkolny w mieście, na który przeznaczono trzypiętrowy budynek mieszkalny u zbiegu dwóch śródmiejskich ulic, liczący bodaj 12 mieszkań wielopokojowych. Zamieszkaliśmy w tym budynku w trójkę, czwartą osobą był stróż na parterze.

Po wysiedlonych rodzinach niemieckich pozostało bardzo dużo mebli, wszelkich sprzętów, wyposażenia, naczyń, pościel itp. Mieliśmy to wszystko do naszej dyspozycji, ale spaliliśmy i mieszkaliśmy praktycznie tylko w jednym większym mieszkaniu na pierwszym piętrze. Natomiast uczyliśmy się w trzech różnych mieszkaniach, aby sobie wzajemnie nie przeszkadzać przy głośnym powtarzaniu lekcji. Budynek miał centralne ogrzewanie i, mimo zewnętrznych mrozów, w pokojach było ciepłutko.

Internat dla nas był bezpłatny, zaś niewiele płaciliśmy za obiady w stołówce nauczycielskiej, do której uczęszczaliśmy. W sumie mieliśmy warunki do nauki wprost fantastyczne.

W klasie było wraz z nami 15 uczniów. Trzymaliśmy się odrębnie od pozostałej dwunastki. Oni, bywało, opuszczali lekcje, mieli bowiem swoje rodzinne problemy i kłopoty. My nie mieliśmy żadnych problemów i nie opuściliśmy ani godziny. Poza nauką nic dla nas nie istniało. Nic więc dziwnego, że zdaliśmy te wstępne, kontrolne egzaminy, szybko uzupełniliśmy zaległości, a pod koniec kursu zaczęliśmy się prezentować jako najlepsi w klasie.

Polegało to także na pewnej manipulacji, jaką konsekwentnie realizowaliśmy. Obaj moi koledzy byli Poznaniakami i mówili świetnie po niemiecku, ja raczej słabo. To też na lekcjach języka niemieckiego oni siadali z przodu, ja za nimi. Profesorowie mieli zwyczaj przepytywać oddzielnie naszą trójkę i pytali nas oczywiście kolejno. Po płynnej wypowiedzi Tadka, Bronek odpowiadał znacznie krócej, zaś mnie pani profesor przerywała już po dwóch zdaniach. No i wszyscy dostawaliśmy ocenę bardzo dobrą.

Na lekcjach matematyki ja siadałem pierwszy, zgłaszałem się ochoczo do odpowiedzi i do tablicy. Drugim był Bronek, a trzecim Tadek, który z matematyką miewał kłopoty. Na lekcjach języka polskiego natomiast zawsze pierwszy siadał Bronek, który się pięknie wysławiał, został zresztą później posłem na Sejm. I tak na wszystkich lekcjach.

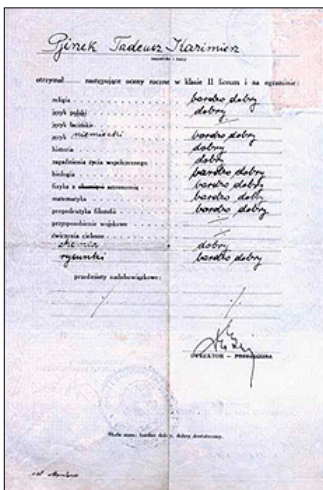
Mieliśmy świetnych profesorów, przeważali mężczyźni. Wykazywali duże zaangażowanie w nauczaniu. Zapewne grał tu pewną rolę czynnik patriotyzmu. Polskie Państwowe Liceum im. Bolesława Limanowskiego w Wałbrzychu stanowiło wtedy liczącą się wysepkę polskości w morzu niemczyzny.

Z drugiej strony sporym ułatwieniem dla uczących było to, że klasa liczyła tylko 15 uczniów, co umożliwiało bezpośredni kontakt nauczyciela z wszystkimi uczniami na

każdej prawie lekcji. O zaangażowaniu profesorów może świadczyć fakt, że w czasie choroby biolożki, proszeni byliśmy do niej do domu, gdzie w pokoju, w którym leżała, odbywały się normalne lekcje.

Wreszcie po 2,5 miesiącach tej szaleńczej nauki po kilkanaście godzin dziennie, przystąpiliśmy w trójkę do eksternistycznych egzaminów maturalnych.

W jednym dniu napisaliśmy zadania maturalne z czterech przedmiotów, zaś w drugim, od wczesnego rana, zdawaliśmy ustne egzaminy z 10 przedmiotów. Oczywiście do egzaminów pisemnych mieliśmy przygotowane ściagi na długich, wąskich karteluskach, złożonych w harmonijki, które ukryliśmy w lewych rękawach. Moja ściągaczka do polskiego zapisana była drobnym maczkiem hieroglifami stenograficznymi, mieściła więc 4-5 razy więcej tekstu, niż gdyby była napisana zwykłym piórem. Nie mieliśmy jednakże warunków do korzystania z nich, gdyż komisja egzaminacyjna liczyła 9 osób i na salach, gdzie zdawaliśmy pisemne czy ustne egzaminy, było zwykle więcej profesorów niż nas, eksternistów.



Późno po południu zawezwano nas do pomieszczenia, w którym obradowała komisja, i dowiedzieliśmy się, jakie otrzymaliśmy stopnie. Dyrektor gratulował nam bardzo dobrych wyników i wypytywał o plany na przyszłość. Ja miałem zdecydowanie najlepsze oceny na kursie z pośród 12. osób, które uzyskały maturę. Otrzymałem 4 stopnie dobre i 7 stopni bardzo dobrych.

Już krótko przed zmrokiem wyszliśmy w trójkę po raz pierwszy poza miasto. Dopiero wówczas zauważyłem, że jest wiosna i piękna, soczysta zieleń dookoła. Był piątek 12 kwietnia

Świadectwo maturalne

1946 roku. Bronek proponował pójście do jakiejś restauracji, ale byliśmy jeszcze oszobotnieni egzaminacyjnym maratonem i wróciliśmy do naszego internatu, aby się wreszcie solidnie wyspać.

Nazajutrz kupiłem gazetę, chyba było to wrocławskie „Słowo Polskie”. Na pierwszej stronie, po prawej u góry, niewielki artykuł zatytułowany dużymi literami: „PIERWSZA MATURA NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH”. Króciutki opis i 12 nazwisk absolwentów, w tym naszej kępińskiej trójki.

My już pakowaliśmy swe nieliczne rzeczy, wymeldowaliśmy się w Wałbrzychu i najbliższym pociągami przez Wrocław pojechaliśmy do swych rodzin do Kępna na Święta Wielkanocne, które w tym roku były stosunkowo późno.

Myślałem wtedy, że po kilku latach, np. po skończeniu studiów, pojedę specjalnie do Wałbrzycha, aby podziękować dyrektorowi liceum za trud nauki i opiekę, roztoczoną nad naszą kępińską trójką. Żegnając nas, był on wyraźnie wzruszony, czego nawet nie skrywał. Dla niego ta pierwsza polska matura w dotychczas niemieckim Wałbrzychu była zapewne dużym emocjonalnym i patriotycznym przeżyciem. Ale potem zawsze brakowało czasu na jakąkolwiek refleksję, okazanie wdzięczności dla swych profes-

rów, przyjaciół, kolegów. Dziś tego bardzo żałuję.

Oczywiście rodzice i siostra ucieszyli się bardzo z tak szybkiego uzyskania przeze mnie dużej matury. Miałem 19 lat i tylko jeden rok zwłoki w nauce z powodu wojny.

Niestety moja siostra, mimo, że starsza ode mnie, i mimo swych ambicji, nie używała w tym okresie matury. Praktycznie zakończyła wówczas swą edukację na zawodowej szkole handlowej w Stanisławowie. Potem już cały czas pracowała zarobkowo i nie miała warunków na kontynuowanie nauki. Dopiero w pierwszych latach 60. uzupełniła swe średnie wykształcenie. W 1946 r. przeniósła się do Wrocławia i rozpoczęła pracę w słynnym „PAFAWAGU”. Zamieszkała na osiedlu Sępólno, zajmując zdewastowane mieszkanie bez drzwi i szyb w oknach. Po kilku miesiącach zmieniła zakład pracy na znacznie bliższy, angażując się w Związku Rewizyjnym Spółdzielczości, w którym przepracowała później wiele lat na stanowisku księgowej.

Rodzice wrośli na dobre w swą nową gospodarkę. Uprawiali starannie ogródek i swój skrawek pola, mieli stado kur, króliki i 2 świnki. Ojciec pracował bez zmian w Urzędzie Miejskim, jak również angażował się w działalność Związku Powstańców Śląskich i Wielkopolskich.

Rodzice mieli możliwość odmiany swej przyszłości i nawet rozważali ewentualność powrotu do statusu mieszczuchów i przeniesienia się do Wrocławia. Jeszcze w 1946 r. posiadali bardzo dużą szansę otrzymania na własność jakiegoś solidnego poniemieckiego domu jednorodzinnego, jako rekompensatę za utracone mienie na Wschodzie. Ale nie zdecydowali się na ponowną przeprowadzkę, także, w jakimś stopniu, na skutek szeptanej wówczas propagandy, że niedługo będzie trzecia wojna światowa.

W szczególności specjalistą od prorokowania nowej wojny światowej był sąsiad rodziców, kolejarz, pracujący na stacji kolejowej w Kępnie. Trudnił się przetaczaniem wagonów towarowych i drobnymi kradzieżami z tychże. Ciągłe coś sprzedawał, co mu się udało wygrzebać, czy wyciągnąć z wagonów. Równocześnie regularnie ogłaszał coraz to nowe terminy wybuchu trzeciej wojny światowej pomiędzy państwami Europy Zachodniej i USA a ZSRR. Tłumaczyłem mu wielokrotnie, że nikt, po tak strasznej, dopiero co ukończonej, wojnie nie zechce rozpętywać nowej. Ale on wiedział swoje i znów ogłaszał kolejny termin na najbliższe święta, na lato, lub zimą, co mu tam przyszło do głowy. Zresztą nie on jeden. Spotykałem wówczas więcej statecznych, „prawdziwych” (jakby się to dzisiaj powiedziało) Polaków, którzy do tej „trzeciej” wprost tęsknili. Można było odnieść wrażenie, że „opóźnianie się” wymarzonej, nowej wojny światowej odczuwali jako osobiste nieszczęście, które ich frustrowało i z którym trudno im było się pogodzić. Nie potrafiłem wtedy takich samobójczych dewiacji zrozumieć.”

Matka miała po latach pretensje do ojca, iż nie przenieśli się jednak do Wrocławia. Wiązało by się to, generalnie biorąc, z poprawą ich standardu życiowego. W swoim domu w Kępnie nie mieli bowiem nawet instalacji wodociągowej. Mogli go sprzedać, co zapewne starczyłoby i na remont przyznanej willi i jeszcze zostałyby im jakiś kapitał na starcie do nowego, wielkomiejskiego, łatwiejszego rozdziału w ich życiu. Na tym, że pozostali w Kępnie, wygrały natomiast zdecydowanie ich wnuki, które później chwaliły sobie bardzo, i czynią to do dzisiaj, swe liczne pobyty u dziadków.

Po odsapnięciu w Kępnie przez kilka dni na łonie rodziny, znów wyjechałem do Wrocławia. Zamierzałem uczyć się na jakiejś wyższej uczelni wrocławskiej, chociaż nie byłem wtedy jeszcze zdecydowany na jakim kierunku. Do nowego roku akademickiego pozostawało wszakże prawie sześć miesięcy, więc wpieryw chciałem poszukać sobie jakiejś odpowiadającej mi pracy.